Nr. 50. We Lwowie, dnia 15 grudnia 1901. Rok 9

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

# Z powodu konstytucji 3-go Maja.

*Z listów Kornela Ujejskiego do ś. p. Apolinarego Stokowskiego*).*

Wygnanka górna 11. kwietnia 1891.

Kochany Apolinary!

Pomimo, że nie cieszę się dobrem zdrowiem, a umysł mam przygnębiony strasznem nieszczęściem, które spadło na moją rodzinę, starać się będę napisać wiersz i przeszlę go na Twoje ręce przed dniem 3-go maja. Chcę tym znakiem dać wyraz mego uczucia dla wielkiej naszej rocznicy narodowej, a przytem miło mi będzie spełnić także życzenie komitetu tego miasta, z którem wiązały mnie długoletnie stosunki. Postarajcie się o dobrego recytatora, któryby ten wiersz na uroczystym obchodzie odczytał, bo dla braku zdrowia podróż do Lwowa jest dla mnie niemożliwą.

Uprzedzam Cię, że według tego co już teraz pląta mi się po głowie, wiersz mój będzie odezwą do narodu — i życzyłbym sobie aby była wygłoszoną na zakończenie całego obchodu. Treść do wiersza, jaką mi podałeś, możeby zużytkował inny z poetów, których kilku macie we Lwowie bardzo wybitnego talentu.

Pozdrawiam Cię serdecznie z braterskiem uściśnieniem

Twój szczery przyjaciel
*K. Ujejski.*

---

Wygnanka górna 20. kwietnia 1891.

Kochany Apolinary!

Spełniam dane przyrzeczenie i posyłam wiersze. Jeśli do ich odczytania wybierzecie kogo z gorącą polską duszą, a ten wypowie moje słabe słowa ze spokojem a siłą, i z tym hamowanym ogniem, który cechuje każde głębokie uczucie, to miejcie nadzieję, że one wywrzeć mogą pożądany u słuchaczów skutek. Dałby Bóg aby wrażenie wywołane obchodem stuletniej rocznicy 3-go maja, było trwalsze i zagrzało rodaków w naszym mianowicie kraju, do gorliwej pracy na rzecz świętej sprawy całego narodu.

Pisałeś, że macie zamiar wydrukować moje wiersze w celu ich rozpowszechnienia — w takim razie przyszlijcie mi nieco odbitek. Bądź łaskaw donieść mi paru słowami że otrzymałeś tę przesełkę.

Pozdrawiam cię i ściskam serdecznie

Szczery twój przyjaciel
*K. Ujejski.*

---

Wygnanka górna 22. kwietnia 1891.

Kochany Apolinary!

Z wiersza wczoraj Tobie posłanego wykreśliłem prawie drugie tyle, ustęp może najlepszy. Dla czego? zaraz wytłumaczę. A przedewszystkiem to powiem, że ja pojmuję miłość narodu inaczej, niż wielu zacnych i gorliwych patrjotów. Wierzę, że żadna brutalna moc nie jest zdolną zgnieść i uśmiercić narodu, jeśli on ufa swoim duchowym siłom i stara się rozwijać je, gdzie tylko może i jak może — a ucisk choćby najsroższy niepodoła zahamować tych objawów. My

---

*) We wszystkich trzech listach, które przytaczamy w tem miejscu, z korespondencji, łaskawie udzielonej nam niegdyś przez ś. p. A. Stokowskiego, K. Ujejski omawia sprawę swego wiersza, ułożonego na setną rocznicę Konstytucji „Trzeciego Maja“. Na obchodzie we Lwowie deklamowaną była część tej poezji, zgodnie z wolą Autora, który nie chciał w tym dniu świątecznym niczem zamącić jasnej otuchy, budzącej się w duszach uczestników uroczystości narodowej. W całości utwór Ujejskiego ukazał się dopiero w drugiem wydaniu dzieł poety (Przemyśl. Nakładem księgarni Jelenia i Langa — tom 4-ty, str. 191), pod tytułem: „W dniu stuletniej rocznicy nadania Konstytucji 3-go maja. (*Przyp. Redakcji*).

w Galicji posiadamy od wielu lat swobodę ruchu w szerokich granicach konstytucyjnych — a coraz gorzej grząźniemy w zwątpieniu i upadku ducha! Wykazują to, prawie w każdym numerze, nasze niezależne dzienniki. Więc nie schlebianiem, nie bezwzględnem zapewnianiem, że upaść nie możemy, ale wykazywaniem naszych błędów, nagleniem do poprawy, służą najlepiej ojczyźnie ci, którzy ją czystem sercem kochają, za tę miłość żadnej nagrody ani pragną, ani jej się spodziewają, a ze spokojem znoszą nienawiść tych, dla których głoszenie niemiłej prawdy jest obrazą, bo do wydobycia się z grzechu nie mają chęci i siły. Ustęp, o którym wspomniałem, jest właśnie katalogiem naszych grzechów przeciw ojczyźnie, a chociaż one jeszcze nie wszędzie się objawiają, budzić już mogą trwogę i ból w każdej szczerze patrjotycznej duszy. Nieusunąłem tego wstępu z lękliwości, bo tej nie mam, ale uznałem niestosowność jego wygłoszenia w dniu obchodu 3-go maja, w tym wielkim dniu, kiedy wszystkie dusze, jak niewątpię, rozcieplą się jasną, orzeźwiającą otuchą i harmonijnem ukojeniem.

Inna rzecz, jeśli mój wiersz już po odbytym obchodzie miałby być drukowanym, -- życzę sobie aby natenczas był on w całości ogłoszony i w tym celu posyłam ustęp przedtem wykreślony. Donieś mi czy komitet przystanie na to. Notatka umieszczona w odsyłaczu powie, że nie komitet, ale sam autor usunął część swoich wierszy przy ich odczytaniu podczas obchodu. Radzę aby odbitek nie sprzedawać, ale rozesłać je do tych 200 delegatów, którzy zjechali się byli dla wspólnej narady do Lwowa. Dziś nikogo poezje nie wabią, ale gdy dane za darmo może je kto przeczyta.

Pozdrawiam Cię i ściskam serdecznie.

Szczery Twój przyjaciel

*K. Ujejski.*

# Do dzieci wrzesińskich.

Dziatwo serdeczna, wszystkie dzisiaj głowy
Przed tobą w kornym chylą się pokłonie!
Przez ciebie zakon pełni się nam nowy —
Zakon, co serca połączy i dłonie
W imię Wolności i Prawdy dziejowej...

Dziatwo ty kmieca, Piastowe wnuczęta!
Jak Piast przed wieki ugaszczał niebiany,
Tak mowa Piasta w gościnę przyjęta
Do chaty twojej — skarb przez Ojców dany,
Dusza Narodu w duszę twoją wzięta!

Cześć tobie, dziatwo! Za wzór służysz światu,
Że ponad siłę Przemocy i Pięści
Jest siła wyższa: Prawdy majestatu!
Tyś jej rycerzem, więc Bóg tobie szczęści,
Bo skatowana, ty — urągasz katu!

Że serca słuchasz, chociaż cierpi ciało,
Daje ci Serce mądrość zdrową, prostą,
I w bohaterstwo cudne zolbrzymiałą:
Ty wiesz — pod pruską nieugiętą chłostą —
Że *„kto męczennik, temu się udało“!*

*Warszawianka.*

# Nowe przesiedlenie

*szkic z życia sofijskiego przez Jana Wazowa, przekład z bułgarskiego J. Z. A.*

Przed dwoma laty przechadzając się po ulicach „Jucz-Bunar“ *) i spoglądając bez celu po biednych sklepikach i nędznych domkach, otoczonych spleśniałem błotem, spostrzegłem nad drzwiami jednego szynku napis „Karczma Nowe przesiedlenie“.

Napis ten uderzył mnie nietyle swoją dziwacznością (w stolicy istnieją jeszcze więcej cudaczne i fantastyczne napisy), co smutkiem i melancholją, które wiały od niego. — Miałże on rzeczywiście jaki związek z życiem karczmarza, czy też był tylko krzykliwą reklamą prostaka? Nie wiem. Ale ten napis mię uderzył, — zdawało mi, że musiał ukrywać jakąś bolesną historję.

Wiktor Hugo znalazł na kamieniu w murze świątyni Nôtre Dame de Paris, wyraz grecki „ananke“ i na tym wyrazie fantazja jego stworzyła cały świat średnich wieków. — Nie wiem dlaczego, ale mnie się wydało, że owo „Nowe przesiedlenie“ jest to jakiś rodzaj małego „ananke“

*) „Jucz-Bunar“, biedniejsza część miasta Sofji, wzniesiona przed dwunastu laty na miejscach błotnistych, gdzie się znajdują trzy źródła, co znaczy po turecku „Jucz-Bunar“ słynące z cudów. (przyp. tłum.)

w drobniutkim światku, w ubogiem istnieniu jednego z naszych biednych braci Macedończyków, lub innego współrodaka. — Aby rozwiązać tę zagadkę, nie trzeba było zapuszczać się głęboko w zamierzchłe stulecia, wystarczało wejść do szynku i napić się wina. —

Tak też uczyniłem.

We drzwiach spotkał mnie tęgi sześćdziesięcioletni człowiek w szajakowem[1]) starem ubraniu, siwy już, z twarzą pomarszczoną, lecz dobrą, uśmiechniętą i przyjacielską — typ dobrodusznej, prowincjonalnej twarzy, jaką mieli nasi ojcowie i dziadowie w czasach tureckich. — Był to sam szynkarz. —

Po izbie krzątała się żwawo kobieta, mająca około lat pięćdziesięciu, o twarzy pełnej i łagodnej, odziana w ciemną, szajakową, bardzo zniszczoną suknię. — Była to żona szynkarza. —

Oboje przywitali mię uprzejmie. — Mężczyzna otworzył drzwiczki, zapraszając do pustego wybielonego wapnem pokoiku z małym stolikiem po środku. Było to widocznie miejsce, przeznaczone dla zamożniejszych gości. — Jego żona przyniosła zamówioną szklankę wina i wróciła do izby szynkownej.

Wypowiedziałem odrazu szynkarzowi przyczynę, która mnie tam sprowadziła. —

A on pogładziwszy z uśmiechem zadowolenia siwe wąsy, odrzekł:

Jesteście zaciekawieni, panie, jak widzę; i inni mnie już o to pytali... A co pan o tem sądzi? Czy to tak sobie bez celu umieszczone tam? Myśmy oboje z żoną „Trakijcy“.[2]) (tak się zwą sami Bułgarzy z Tracji, czyli Rumelji wschodniej p. tł.) A wy, panie, skąd jesteście?...

A, tak? i wyście z Tracji? Pięknie. — My tylko, Trakijcy, wiemy, jak to było w czasie tej wojny i kto kupił oswobodzenie Bułgarji...

Pojmujecie, panie, co ja chcę przez to powiedzieć. — Tutejsi ludzie, „Szopy“[3]) dostali wszystko gotowe, palcem nawet nie ruszyli, a jeszcze rozdrapali Turkom ich domy i rzeczy. — Ani jeden komin im się nie spalił!... I u nich stolicę ustanowiono! — Dzikusy, gdy się patrzysz na nich; ale przysłowie mówi: „Wraz z życiem, mamo, daj mi szczęście w świecie, albo wyrzuć mię na śmiecie?“...

Patrz na mnie i na moją żonę? Zestarzeliśmy się, jak psy — nie tyle z powodu lat, co z włóczęgi: czternaście lat, niby jak cygani się tułamy, przywykamy do nowych ludzi, uczymy się ich zwyczajów, a ciągle od A. B. C. zaczynamy... Raz opuściwszy gniazdo rodzinne, do dziś dnia przenosimy się tam, dokąd nas wiatr zapędzi... Jowko! przynieś i mnie szklankę wina!

Szynkarz napił się trochę, obtarł wąsy czerwoną chustką i mówił dalej:

— Więc, wasza miłość, pytacie mnie o napis, jaki umieściłem nad drzwiami. Więc wam opowiem, bo moja historja, panie, warta jest opowieści. Niechże będzie opisana i czytana. Babilońskie to są przesiedlenia!... Myśmy z żoną oboje z Klisury. — Dziś widzisz nas, jako karczmarzy, żebraków, dla pięciu par [1]) musimy stać godziny przed tymi Szopami, ale w Klisurze byliśmy czem innem. — Najprzód sklep pełen towarów, gospodarstwo, młyn, handel z Anatolją i t. d.... W 1876 r. robimy powstanie. Czyś nie słyszał o „armatce“ klisurskiej? Z czereśniowego drzewa zrobiliśmy działa. A jakże, powiadam panu. Ale przyszedł Tosun bej, zrabował i spalił Klisurę. — Mój dom, towary i całe mienie zmieniły się w popiół. Uciekliśmy jeno w koszulach, za przeproszeniem. Czyście słyszeli o klisurskim pogromie?

Zatrzymaliśmy się w Sopot.... Za wasze zdrowie!... Nie zabawiliśmy ani roku w Sopot. — Otworzyłem sklepik i wziąłem się do dawnego zajęcia krawieckiego. Niech Bóg nagrodzi starego majstra. My Klisurzanie, wszyscyśmy krawcy, — krawcami się rodzimy.... W Sopot, pracujemy, tysiące ściegów robimy za jednę parę. Aby tylko wyżyć.... Alboż nie powiadają: „Pracuj za byle co, ale nie próżnuj za darmo“. Jak mało doznaliśmy tam słodyczy? Rok nie minął, jak „Russy“ przeszli Bałkany. Jakby bies klisurski opętał Sopotnianów! „Powstańmy przeciwko Turkom, pójdźmy na spotkanie kozaków z popami i chorągwiami!...“ Sparzywszy się na gorącem, na zimne dmucham. — Stójcie, powiadam, pilnujcie waszych łachmanów, carstwo bułgarskie będzie i bez waszego krzyku, słuchajcie pogorzelca!... Ale kto by tam chciał mię słuchać? — „Hura! hura!“ hura!“

Jednego poranku zawołano: uciekajmy! Uciekliśmy!

Wojska Sulejmanowe napadają, pola poczerniały od baszibuzuków.... Uciekliśmy, panie, z żoną w pończochach tylko. Kiedyśmy się z Bałkanów obejrzeli, zobaczyliśmy cały Sopot w płomieniach! Palił się jak świeca. Była to druga Klisura...

Czoło szynkarza zchmurzyło się ciężkiemi wspomnieniami, głos przybrał ton gorzki, prawie rozdrażniony.

Drzwi się otworzyły a w nich stanął jeden z mieszkańców Jucz-Bunaru.

— Dzień dobry, Niagule, jak się masz? — zapytał gość, okazując chęć wejścia.

Niaguł — było to imię szynkarza — zasępił się. —

— Złego niema, a dobre, niech Bóg da!

Jowko! słyszysz, czegoś chce od ciebie ten przyjaciel!

---

[1]) Szajak — sukno bułgarskie.

[2]) Tak się zwą sami Bułgarzy z Tracji, czyli Rumelji wschodniej. p. tł.

[3]) Szopami nazywają Bułgarzy pogardliwie mieszkańców okręgów przyległych do Serbji i zwykle wyrażają się o nich: „głupi, jak Szop“. — Okręgi, zamieszkałe przez Szopów, noszą nazwę Szopskich, albo Szoplandji. — Kobiety zaś nazywają się Szopkiniami, lub Szopkami. — Sofja leży w kraju Szopów — (przyp. tł.)

[1]) Lwa i pół centima.

Mieszkaniec Jucz-Bunaru zrozumiał z tak chłodnego przyjęcia, że jest zbyteczny, więc się cofnął.

— I Sopotowi wieczny odpoczynek, rozpoczął Niaguł. A teraz dokąd? Wszyscy uciekają przed Sulejmanem, jedni chronią się do Sewljewa, drudzy do Drenowa, a inni do Tyrnowy. My z żoną do Eleny. Tłumy uciekających, natłok wojska. Brak chleba. Pogorzelcy umierają setkami na tyfus. Lecz chwała Bogu tam przynajmniej byliśmy zabezpieczeni od Turków. Rozpoczęliśmy nowy zawód, smarząc reczuszki (kremple, dołki), na ulicy. Ludzie — wiele jedzą. W krótkim czasie zebraliśmy trochę grosza. Minęło dwa, czy trzy miesiące, — nie pamiętam — pewnej nocy powstała wrzawa, gwałt! — Co to jest? — Tureckie wojska napadły! Światopełk Mirski odmaszerował! i z deszczu pod rynnę.... Wstawaj żono! Znowu uciekaj — znowuś goły! —

Turcy opuścili wkrótce Elenę, ale myśmy już tam nie wrócili. Odżył strach w sercu naszem. Nie będę ci opowiadał, gdzieśmy się tułali i kryli przez rok cały. To zbyt smutne. Wszyscy się radowali, Bułgarja odzyskała wolność, tylko my, znękani, staliśmy się nędzarzami w naszem sieroctwie i opuszczeniu. Nareszcie namyśliliśmy się z żoną powrócić do naszej Tracji, tam przecie nie byliśmy obcy. Ale dokąd? do Klisury? — Nie chcę jej widzieć...

Żona moja jednakże życzy sobie tego... Dalej więc udajemy się do Klisury. Widok był straszny, bracie mój, domy spalone, podwórza zarosłe, przekleństwo Boże!... Wszystko, jak cmentarz...

...Rzekłem więc, Jowko! tu nie dla nas miejsce! — Sprzedałem ruiny, za co się dało i wynieśliśmy się do Plowdiwu (Filipopol.) W Plowdiwie — istniała wtedy Rumelja — dzięki przyjaciołom, dostałem drobne zajęcie....

Powoli łatać zaczęliśmy dziury. Oj, Boże mój! poczynaliśmy już sobie mówić, tu będziemy żyli i tu pomrzemy. — Niema już czego lękać się Turków, bo to Bułgarszczyzna. — I cerkiew była, było gdzie się pomodlić..

— W głowie ci się przewróciło, nie trzeba się było do niczego mieszać — wtrąciła żona Niaguła, stawiając szklanki na stole.

— A kto ci się tam mieszał, kobieto? Wtedy tak mi trzeba było polityki, jak i teraz. Wiem ja dobrze, jaki wróg to sprawił — niech go Bóg wynagrodzi.

Zaczem zwracając się ku mnie z rozjaśnionem obliczem dodał:

— Jowka chce mówić o połączeniu Rumelji z Bułgarją. Któż tego nie chciał? I ja się cieszyłem wraz z innymi, kiedyśmy wyszli na spotkanie księcia Aleksandra... Za wasze zdrowie! przyjacielu... To wino jest stare, chowam je dla zacnych ludzi, jak wasza miłość... Mówi się: „Bierz młodą żonę, ale wino kupuj stare“... Niech wam smakuje..: Pewnego dnia przychodzą dwaj żandarmi. „Chodź z nami!“ Idę na policję... Cóż się dzieje? „Ty, powiadają, ukrywałeś w swojem podwórzu takiego, co go władza szukała, policja znalazła go pod jakąś kupą!“ Ty jesteś przeciwko „połączeniu“, jesteś niebezpieczny, jesteś zdrajcą! i tak dalej dogadywano mi... Więc dalej na cygański wózek, więc dalej z żandarmami do Sofji. W Sofji zmienił się żandarm, a ten mię doprowadził go granicy w Carybrodzie i rzekł:

— „Wzbroniony ci odtąd powrót do Bułgarji!“

— Wypędzony! — Świat się za mną zamknął“. — Idę pieszo do Pirotu. — Tam niechcący spotykam się z jednym z naszych. Był to Niaguł Truchczew, osiedlony tam dawno, mający się dobrze, niech Bóg da spokój jego duszy, daleki mój krewny.

— „Niagule, rzekł do mnie, zapomnij o naszej Bułgarji. tam i za sto lat się nie uspokoi. To wulkan. — Mam dla ciebie zajęcie w moim sklepie, potrzeba mi człowieka wiernego, swój mi się przyda, tu nie mam nikogo... Chodź ze mną, nie będziesz żebrakiem!... Myślałem, myślałem — jednak ten człowiek dobrze mówi. — Tam w Rumejli wielkie zamieszanie, zanosi się na wojnę z Turcją, znowu może jaki pogrom i przewrót nastąpi i Bóg wie co... Niaguł mię przekonał — wiem ja co honor... Wszelkie złe za dobre — pomyślałem sobie. — Zatelegrafowałem do żony, aby sprzedała wszystko, jak może, i przybyła za mną do Pirotu.

— A ja głupia, usłuchałam cię! Gdybym była wiedziała... Ileż to pieniędzy wydałam na przenosiny — wtrąciła z uśmiechem żona Niaguła, która wsparta o drzwi, słuchała z przyjemnością słów męża...

— Daj pokój teraz, Jowko: Warzone czy pieczone, nam było przeznaczone. A... więc... żona przybyła. Rzekłem: tu się osiedlimy. — Bułgarja miła, bardzo miła! — ale mi nie daje kącika, gdzie mógłbym spocząć na stare lata. — Ale serce, bracie mój, cierpiało.. Nie mogłem jednak postąpić inaczej. Bawół patrzy w proso, a my przed siebie. — Ta głupia wojna nie wiadomo skąd się wzięła. — Koło Hermanli oczekiwana, koło nas zapłonęła. Gdziekolwiek pójdę, nie mam spoczynku... Milan uciekł z pod Śliwnicy. Dotąd był on na ziemi bułgarskiej, teraz Bułgarzy są na ziemi serbskiej. — Zdobywamy Pirot. I któż to nie prowadził mieszczan z chlebem i solą na powitanie wojsk bułgarskich? Niaguł. — Nie nabrał jeszcze rozumu.. Zawarto pokój, Serbowie zostali panami w Pirocie, więc łapcie teraz tych, którzy wołali „hura!“ i szli na spotkanie księcia bułgarskiego... Zdrajcy! I mnie w Plowdiwie nazwali zdrajcą!... Biedny mój krewniak!.. sąd wojenny zasądził go na powieszenie w dwudziestu czterech godzinach! Niech spoczywa w pokoju... My z żoną plunęliśmy na wszystko i przez góry i doły nocami dalej do Sofji.. Jowko! to przesiedlenie kiedy to było?.. Przebaczcie, panie, muszę załatwić się tam z tymi ludźmi, Jowka jest sama.

— Wzruszony głęboko, słuchałem w zamyśleniu opowieści Niaguła. — To ciągłe przesiedlanie się bez końca, z miejsca na miejsce, miało charakter jakiegoś fatalizmu. — Niby na legendowego Żyda Wiecznego Tułacza, los wołał na Niaguła: „Idź, idź, idź“ i on szedł. Każdy etap, jaki zrobiła w tym czasie historja bułgarska, zaznaczył się dla tych ludzi nowem przesiedleniem. Zarówno klęski, jak dni szczęścia narodu, Niaguł opłacał ruiną i ucieczką. — Myślałem sobie, że los tej rodzlny jest losem tysięcy innych trakijskich rodzin, które do dziś dnia nie mogą sobie znaleźć bezpiecznego schronienia, są smutnemi rozbitkami historycznych burz naszych. Przypatrywałem mu się teraz, gdy uprzejmie i grzecznie przyjmował swoich klijentów. Niktby nie poznał z dobrodusznej jego twarzy, ile przecierpiał. Tłumił gorzkie myśli i wspomnienia, bo potrzebował wiele energji i pracy, aby podtrzymać ciężkie tułacze istnienie. Pomimo tylu trosk i nieszczęść zachował dobroduszny humor właściwy ludowi bułgarskiemu, a jego rozmowa, przeplatana przysłowiami, sprawiała niewypowiedzianą przyjemność tym, którzy go słuchali.

— I żona jego rozumiała dobrze obecne swoje położenie. I ona nie mniej od Niaguła, okazała się stałą filozofką w przeciwnościach życia. Słyszałem jej żywą prawie młodzieńczą rozmowę z klijentami, przeplataną wesołym uśmiechem. Ci ludzie wzbudzali współczucie Odwaga uszlachetnia cierpienie i wzbudza nietylko współczucie, ale i szacunek.

Zacni Klisurzanie, załatwiwszy się z gośćmi, wrócili znowu do mnie. Miałem już odejść.

— Nie, czekajcie, proszę, chcemy was poczęstować... Wszak i wy z Trakji... Bardzo mi było przyjemnie... Jowko, przynieś starego wina, i dla siebie weź szklankę!

Trąciliśmy się po przyjacielsku i piliśmy.

— A teraz, czy dobrze się wam przynajmniej wiedzie?

— Mogę powiedzieć, że dobrze. Aleśmy jeszcze bardzo biedni. Bo: kamień, co się toczy, mchem nie porasta.

— Jak dawno macie tu szynk?

Od roku i ta chałupka do mnie należy. Mieszkałem dawniej w mieście i po trzech latach pracy kupiłem sobie starą turecką budę, koło Szarenego Mostu, lecz przeprowadzono tamtędy ulicę, no — i znowu jeszcze jedno przesiedlenie.

Niaguł i jego żona uśmiechnęli się.

— Ale, Bogu dzięki, ostatnie — zauważyłem, biorąc kapelusz.

— I ja tak mówię — przytwierdził Niaguł. Ani kroku stąd się nie ruszę, choćby świat się przewrócił. Bądź łaskaw... i nalał wina w szklanki...

— Oh, drogi, nie unoś się, nie zaprzysięgaj, wtrąciła z uśmiechem kobieta, a zwracając się ku mnie, dodała żartobliwie:

— Ostatnie nasze przesiedlenie, panie, będzie na Orlandowce*), tam dopiero spoczniemy naprawdę.

— I to jeszcze nie wiadomo — żartował Niaguł — nowi zdobywcy mogą i stamtąd nas wyrzucić**)

*) Nowy sofijski cmentarz znajduje się na gruntach, należących do wsi Orlandowce. Mieszkańcy Sofji w żartobliwej rozmowie, cmentarz ten mianem wsi nazywają. (Przyp. Autora).

**) Obecna Sofja rozrosła się na cmentarzyskach rzymskich i tureckich; przy jej budowie zrujnowano mnóstwo grobów, kości zaś nieboszczyków użyto do nasypów dróg i ulic. (Przyp. Tłum.).

25)

# O wpływie trunków alkoholicznych

## *na organizm zwierzęcy i ludzki.*

W kraju cywilizowanym, a więc i alkoholizowanym, gdy trzech obywateli zejdzie się gdziekolwiek, natychmiast pierwszą czynnością ich mózgu jest myśl o partyjce, zaledwie myśl się ujawniła, a tuż zaraz wysuwa się stolik, zjawiają się karty i biesiada gotowa; przy grze pije się latem „piwko okocimskie“ albo „pilznera“; a zimą „araczek z herbatką“, „sznapsik przy zakąsce“, „winko przy kolacyjce“ i czas schodzi tak mile, tak przyjemnie, że towarzystwo nie spostrzega, jak się ubiło dzień, tydzień, miesiąc, rok i życie całe. Pewna dama uskarżała się na męża, że go z Koła literackiego żadną miarą wywabić nie można. Słysząc taką skargę, ktoś byłby mógł pomyśleć, że pana męża ciągnie do klubu — literatura, że czytuje tam gazety i tygodniki naukowe etc. Uchowaj Boże od takich grzesznych myśli; obywatela „porządnego“ ciągnie do koła i klubu stolik zielony i nic więcej. Z tem się on nie tai i to też najotwarciej wyznaje, ale nie dość tego, że całe wieczory przepędza on tam przy kartach, lecz wróciwszy do domu, nudzi całe towarzystwo opowiadaniem o rozmaitych kombinacjach karcianych, jakie miały miejsce podczas gry w Kole. Nie inaczej dzieje się po kasynach miejskich, po wszystkich niemal piwiarniach i szynkach, gdzie są zwykle osobne pokoje tajemne dla partnerów dyskretnych.

Z okien mego gabinetu mam często sposobność obserwowania tu u nas rozmaitych grup obywateli, trudniących się zabawą karcianą tak po domach prywatnych, jak też nawet i pod gołem niebem. Tam np. na pierwszem piętrze, w dnie letnie, pogodne, gdy chłodek poobiedni

wzywa wszystkich na spacer, stawia się stolik na balkonie i trzech mężów młodych wiekiem, ale widocznie mających za sobą długą praktykę karcianą, więc ekspertów w tym zawodzie, zasiada do walki, która pochłania tak zupełnie ich uwagę. że o świecie bożym zapominają i czynnością rąk swoich, ruchami ciała całego, dają przedstawienie bezpłatne obserwatorom z ulicy.

W innej kamienicy na parterze zbiera się trójka ludzi starszych wiekiem, łysiny na ich głowie, brzuszki bernardyńskie, świadczą o długiej służbie w szeregach alkoholików; zasiadają oni poważnie u stolika, zapalają się lampy, jakaś dama z robótką przysuwa się do grających i śledzi pilnie za biegiem gry, młode latorośle płci obojej zjawiają się od czasu do czasu, gdy prawdopodobnie sprzeczka jakaś głośniejsza wywoła ich z za książki z drugiego pokoju, słowem całe towarzystwo ma prawdziwą satysfakcję i oddaje się jej codziennie, w ciągu można powiedzieć miesięcy całych „jesiennych i zimowych".

Jeszcze dalej w innej kamienicy, w lokalu obszernym, zajmowanym widocznie przez zamożnych obywateli, urządza się od czasu do czasu większe „reunion" albo „assemblée"; są tam bowiem panienki na wydaniu, a trzebaż przecie pozbyć się ich z domu. W takich chwilach uroczystych dla lokalu, uroczystych dla całej kamienicy, lecz wielce nieprzyjemnych dla współlokatorów domu, widać rzęsiste oświetlenie pokojów. Młodzież wylakierowana, ufryzowana, wyrękawiczniona, domniemani epuzerowie, stają do flirtu u krzeseł, obsiędzionych przez damy. Następnie po paru hauścikach przy stoliku przekąskowym wychylonych, gdy muzyk u fortepianu rozpoczął swą pracę, odbywają się tańce, przeplatane bądź śpiewem panienek, zwykle z akompaniamentem jednego z epuzerów, bądź też deklamacjami rozmaitemi. Tak bawi się młodzież w salonie, lub przy stolikach z przekąskami i sznapsikiem; lecz tuż obok, w drugim pokoju, stawiają się stoliki do kart, tam zasiadają starsi, a w ich rzędzie i kobiety na nieszczęście i zabawa ożywiona, w takt muzyki fortepianu, przewleka się długo, aż po północy. Takiem bywa ciężkie poświęcenie rodziców na rzecz szczęścia córek. Tych kilka tu podanych przykładów dać może tylko słabe bardzo pojęcie o tem rozwielmożnieniu się manji karcianej w sferach zamożniejszej ludności. Młodzież nauczona przykładem starszych idzie w jej ślady i wszędzie gdzie może uprawia szulerkę; często nawet zasiadają synowie wespół z rodzicami do jednego stolika, gorsząc w publicznych miejscach ludność miejscową, szczególnie na mieszkaniach letnich, bo i tam, wyjechawszy rzekomo dla spacerów i świeżego powietrza, „obywatele porządni nie tracą czasu" i od rana do wieczora, zasiadłszy na widoku wszystkich pod werandą, bawią się kartami.

A teraz zejdźmy niżej po szczeblach społecznych i tam widzimy prawie to samo. Oto trzech stróżów na dziedzińcu uniwersyteckim, zasiadłszy na stopniach kamiennych, walą rozmaszyście kartami bibulastemi, przy głośnych sprzeczkach i częstych wymyślaniach, już to na karty, już to na partnerów. Tam znowu w zacisznym kącie długiego kurytarza, dwóch woźnych, usiadłszy na oknie walczy kartami zapamiętale, w innem znowu oknie, tuż u drzwi wchodowych do gabinetu zoologicznego trzech wyrostków, synowie woźnych prawdopodobnie, czynią to samo co ich ojcowie.

Następnie prawdziwie sielski obrazek obserwować można od czasu do czasu latem przed kościołem Ś-tego Mikołaja: tu w cieniu lipy rozłożystej, wygodnie na murawie rozsiada się czterech obywateli w ubiorach robotniczych; są to albo dozorcy, albo sami pracownicy od robót pobliskich; od 12 z rana dnia powszedniego, 28|VIII. r. b., rozpoczęła się taka partyjka, koło ciekawych próżniaków otoczyło grających. Ci widzowie w dzień powszedni, to siedząc, to stojąc to leżąc całemi godzinami przypatrywali się zabawie; o 2-giej po południu zaczął padać deszcz rzęsisty, ale grający nie ustąpili z placu, tylko się skupili bliżej u pnia drzewa, a widzowie stanęli murem tuż przy nich, zabawa trwała do wieczora, wyraźnie do godziny 6-tej wieczorem.

Idąc po ulicach miasta widzi się prawie wszędzie sceny podobne do opisanych powyżej; w jednem miejscu grają „bojkowie" przy sprzedaży owoców, w drugim dorożkarze, tam znowu posłańcy miastowi, albo stróże kamieniczni; najciekawszy jednak z pomiędzy innych jest widoczek „genre'owy" jaki tworzą dorożkarze, czyli po tutejszemu „fjakrowie", rozmieszczeni wzdłuż sztachet ogrodu zakładu imienia Ossolińskich. Otóż fjakrowie ci urządzają sobie partyjki na stojąco, za stolik służy wór z sianem na sztorc postawiony. Do koła takiego improwizowanego stolika staje zwykle po trzech graczów, otoczeni kupką mniejszą, lub większą widzów. W ogóle przechadzka po mieście poucza nas, że na każdym kroku spotyka się tam grających. Wieś nie pozostała w tyle za miastem; na wsi widziałem grających u parkanu cerkiewnego w otoczeniu ciekawych widzów, widziałem grających w karczmie, grających pastuszków przy trzodzie, etc. etc. Patrząc na ten olbrzymi rozrost manji karciarskiej przy kolosalnej namiętności do trunków alkoholicznych, można z rozpaczy stracić nadzieję we wszelki postęp cnoty obywatelskiej w człowieczeństwie.

Napróżno amatorowie kart uważają grę za sposób niewinny „zabijania czasu", którego mają w ciągu krótkiego swego życia zawsze za wiele, albo też mienią ją jako szczególniejszą wprawę umysłu, konieczną dla ułatwienia pracy przy rozwiązaniu zagadnień matematycznych — na próżno powiadam, bo sumienna analiza pobudek, wiodących do nałogowego karciarstwa, stawi jasno przed oczy prawdę, nie obwiniętą w bawełnę obłudy, że jedynym tutaj motywem jest popęd atawistyczny do przywłaszczania sobie cudzego mienia. Gra w karty, w ruletę, w trente et quarente jest ni mniej ni więcej, tylko sankcjonowaną przez społe-

czeństwo formą okradania siebie wzajemnie, w sposób tak zwany przyzwoity. Powiadają niektórzy, że gry tak zwane komersyjne nie należą do tej kategorji, jest to zdanie zupełnie mylne. Różnica pomiędzy grą hazardowną a komersyjną leży nie w ich istocie samej, ale tylko w ilości przegranej, kradzież zaś jest zawsze kradzieżą, czy się mniej na razie weźmie, czy więcej; od rzemyczka poczyna się zwykle i wielkie złodziejstwo, powiada przysłowie. Każdy nałogowy karciarz, czy komersyjny, czy też hazardowny, jest w oczach logicznej psychologji, spoljatatorem cudzego mienia, albo inaczej mówiąc voleur'em. Żaden, nawet „najbezinteresowniejszy" gracz nie usiadłby do stolika, gdyby był przekonany z góry, że przegrać musi, ale za to wszyscy oni są gotowi ograć ojca, matkę, brata.

Niemoralności tkwiącej głęboko w procesie ogrywania, karciarz nie odczuwa wcale, bo moralność swoją już uprzednio utopił w kieliszku i kuflu, lecz co najgorsza, że tej niemoralności grania w karty, nie odczuwa już społeczeństwo całe. Widzimy często jak najzacniejsza, najmoralniejsza gospodyni domu staje się wspólniczką zdrożności karcianej, tolerując u siebie grę w karty, albo widzimy również, jak zarządy towarzystw różnych pozwalają rozstawiać stoliki do kart w przybytkach, poświęconych literaturze, lub sztuce. W ogóle wszyscy patrzą na złodziejstwo karciane z taką pobłażliwością, w sposób tak bezmyślny, jakby świadczyć tem chcieli, że myśleć logicznie już nie potrafią.

W moralnem towarzystwie i społeczeństwie, człowiek pijący i grający w karty nie powinien piastować żadnego urzędu ani publicznego, ani prywatnego, a tem mniej może się kwalifikować na dyrektora, albo nauczyciela szkół, bo pozorna moralność takiego człowieka jest obłudna. Kto raz wygrany pieniądz potrafił uznać za swoją własność, wyzbył się tem samem uczuć właściwej moralności i to zwykle bezpowrotnie; kto zaś kilkakrotnie, raz po razie w kole biesiadniczem dał folgę namiętności alkoholicznej ten wykazał jasno, że na jego prawość i siłę woli liczyć nie podobna, i że prędzej lub później zawiedzie on położone w nim zaufanie, to jest rzeczą pewną. Gdy się widzi, jak osoby odpowiedzialne grają w karty, bywają pijane, jak uczęszczają regularnie do zakładów śniadańkowych, jak w towarzystwie metres rozjeżdżają po mieście, — obowiązkiem wtedy ludzi moralnych i dziennikarzy sumiennych zwrócić na takie czynności uwagę publiczności, jeżeli zaś tego nie uczynili, stali się wspólnikami zbrodni popełnionych, bo tolerancja złego i pobłażliwość przestępstwa jest prostem wspólnictwem.

Dzisiaj gdy wiedza rozświetla skutki fatalne napojów wyskokowych i na moralną stronę człowieka, jaśniejszymi się też stają nasze poglądy na postacie bohaterów historycznych, na królów potężnych i groźnych i wielkich, na Torkwemadów różnych stopni i siły, zresztą na całą inkwizycję przeżytą, na wojny kozackie, na militaryzm nowoczesny i na wiele innych, pięknych „dźwigni" postępu i cywilizacji obecnej, a także na te bez końca meldowane defraudacje, oszustwa, sprzeniewierzenia i bankructwa wszelkiego rodzaju.

Dopiero w nowszych czasach pozyskaliśmy klucz potrzebny do objaśnienia i zrozumienia należytego przyczyn, powodujących tyloliczne bezeceństwa ludzkie. I tak np. wiemy dzisiaj, że nie mógłby człowiek trzeźwy, a również nie mogłoby społeczeństwo trzeźwe rozkoszować się widokiem cierpień moralnych całych plemion, całych narodów, lub patrzeć obojętnem okiem na te ich boleści, a także nie potrafionoby na trzeźwo lubować się w torturach językowych i religijnych, wykonywanych (gwoli rzekomego szczęścia państwa), z taką samą pełnią satysfakcji, jakiej doświadczał ów wyżej wspominany „atwodczyk płaszczadiej", gdy zarzynał koguty i kury w czasie podróży swej po Amurze. Czyżby mogła następnie ludność trzeźwa, albo ich trzeźwe rządy znajdować przyjemność w waśniach plemiennych i społecznych i podtrzymywać je kosztem sum ogromnych i ceną upodlenia płatnych agitatorów. Idźmy dalej jeszcze i zapytajmy, czyby mogły być wykonywane bez alkoholu owe demonstracje na uniwersytecie naszym, nowe obstrukcje parlamentarne, nad wszelki wyraz wstrętne i wulgarne, owe przekupstwa przy wyborach etc. etc. Jak nie możemy sobie przedstawić dzisiaj trzeźwego Atsunarsipal'a dyktującego samochwalcze opowieści dla unieśmiertelnienia siebie, albo też innych królów Assyryjskich własnoręcznie wykoływujących na trzeźwo oczy więźniom, tak również nie możemy już dzisiaj przypuścić, ażeby bezeceństwa i barbarzyństwa wyżej przytoczone mogły być wykonywane bez wpływu alkoholu. Często wprawdzie nie umiemy sobie na razie wytłumaczyć motywów czynności pewnych ludzi, ale dopiero gdy zbadamy je bliżej, wtedy przekonywamy się najdowodniej, że one są prostymi skutkami alkoholizmu. Dla przykładu przytoczę tu parę faktów:

Rabinowi pewnemu, sjoniście, powierza władza szkolna czynności pouczania zasad religji mojżeszowej młodzieży izraelickiej, uczęszczającej do danej szkoły. Władza rzeczona wielce dbała o wychowanie religijne i moralne dzieci nie pozwala za nic w świecie rodzicom samym zająć się tym przedmiotem wychowania z obawy, ażeby broń Boże uczniowie nie zboczyli z gościńca religijności. Tymczasem rabin, o którym mowa, w szkole z językiem wykładowym polskim, zjawia się na wykłady pełen fanatyzmu prostaczego i tuż pod bokiem wielce czujnej dyrekcji zaszczepia najzawziętszą nienawiść do wszystkiego co polskie, wyśmiewa obrzędy religijne innych wyznań, szydzi z obchodów patrjotycznych, a zarazem podnosi wszystkie swoje najgłupsze nawet przesądy do wyżyn prawd z nieba objawionych. Otóż stawiamy pytanie, czy taka czynność rabina może mieć inny powód, jak jego alkoholizm? a na to pytanie odpowiadamy stanowczo, że właśnie taka przyczyna jest tu głównie działającą w obecnym wypadku.

Żaden bowiem bogobojny cudotworny rabin bez wódki obejść się nie może. W innej szkole znowu nauczyciel prawi dzieciom najsprośniejsze rzeczy, cóż go pcha do takiej czynności? nic innego jak alkohol, którym się raczy codziennie. Albo fakt następny: przedstawiciel cywilizacji i aspiracji pewnego odłamu społeczeństwa, profesor, wsącza w wykłady swoje jad nienawiści plemiennej, szerzy fanatyzm i inne podobne cnoty. Profesor ów jest alkoholikiem, więc źródło jego czynności, wyjaśnia się należycie samo przez się.

Tych nie wiele przykładów, wziętych z tysiąca innych, które mógłbym tu przytoczyć, może wystarczy, ażeby przekonać, że każda obmierzłość w czynnościach ludzi ma swe źródło w alkoholizmie. Wszystkie te bezeceństwa cytowane powyżej są to skutki pijaństwa, to ostatnie sięgą od szczytów po najniższe podstawy społeczne. Żaden trzeźwy człowiek, ani podłym, ani zbrodniarzem nie będzie.

Ludzie przywykli do napojów wyskokowych tych prawd uznać nie chcą, bo sądzą, że zwyrodnienie moralne może istnieć bez alkoholu, albo że alkoholik może być człowiekiem moralnym. Ja na to odpowiem słowami poety:

Wszystko to być może,
Lecz ja te prawdy między bajki włożę.

Niech mi wskażą choćby jednego zbója, złodzieja, oszusta, albo innego jakiego przestępcę lub zbrodniarza abstynenta, wtedy dopiero będę mógł pozyskać podstawę do zmiany moich przekonań.

Przyszłe pokolenia ludzi trzeźwych, pozbywszy się nałogu pijaństwa (a do tego dojść musi, jeżeli nie drogą rozsądku, to drogą doboru i eliminowania), dziwić się będą nad brakiem logiki u swych przodków, albowiem ci chcieli umoralnić społeczeństwo bez usunięcia głównej przyczyny niemoralności, jaką jest najniezawodniej używanie trunków wyskokowych.

W krajach cywilizowanych każdy obywatel przychodzi na świat obciążony grzechem dziedzicznym, pierworodnym, który się już przekazuje wieki całe z pokolenia w pokolenie — grzechem tym jest popęd do trunków alkoholicznych. Żadnymi wszakże środkami zwalczać go w dzieciach nie starano się dotąd, przeciwnie zaraz na wstępie ich do życia, troszczą się ludzie jakby z umysłu oto, ażeby ten popęd bardziej jeszcze zakorzenić w organizmie niemowlęcym, przyuczają więc dziecko do zażywania trucizny, najczęściej w tem błogiem przekonaniu, że to się czyni dla jego dobra. Ten przesąd tak się wrył głęboko w zwyczaje towarzyskie społeczeństw europejskich, że często się widzi, jak zmuszają dziecko prawie gwałtem do wypicia piwa gorzkiego, albo porteru, lub też wódki. Ileż to ojców, nie tylko w sferach mniej wykształconych, szczyci się, jakby ważną zaletę synka, że malec już całą szklankę piwa wypić potrafi, albo pełny kieliszek wina lub wódki „jak nic“ wychylić zdoła. Zwyczaj taki pojenia malutkich jest powszechny i starodawny, szczególniej rozpowszechniony w Rosji.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

---

## Z pism i książek.

*Przyjaciele. — powieść dla młodzieży przez Wandę Dalecką.* Z illustracjami L. Winterowskiego. We Lwowie. Nakładem Tow. Pedagogicznego 1901.

Przyjaciółmi są dwaj uczniowie klasy trzeciej gimnazjalnej, Władek Mielsztyński i Julek Kantecki. Pierwszy — to syn zamożnych rodziców, wychowany wśród kształcących umysł i serce wpływów rodzinnych – drugi o własnych siłach idzie przez życie, a jedynym jego opiekunem, jedyną bliską mu istotą na świecie, jest ojciec, nałogowy pijak, który też wkrótce dostaje się do domu warjatów.

W pierwszym okresie znajomości i przyjaźni Władek odgrywa wobec Julka rolę dobrego ducha. On ułatwia koledze przejście do wyższej klasy, odrabiając wspólnie z nim lekcje przy biegłym nauczycielu — on go zabiera z dusznej izdebki miejskiej ze sobą na wakacje w cudną okolicę podgórską... Piękny ów stosunek przyjaźni trwa jednak nie długo Kładzie mu kres siostra Władka, Jadzia, próżna i dumna dziewczyna. Urażony w swej godności ludzkiej niewłaściwem jej zachowaniem się, Julek zrywa znajomość z rodziną Mielsztyńskich. Gdy jednak ojciec Władka traci majątek i umiera, Julek zapomina urazy — ma dla dawnego przyjaciela współczucie brata, staje się dla jego matki podporą i pomocą, spłaca z lichwą zaciągnięty niegdyś dług wdzięczności. Przebacza nawet Jadzi, która się wyzbywa dawnych wad.

Taką jest — w dwóch słowach opowiedziana — fabuła „Przyjaciół“. Autorka, znana nowelistka, potrafiła ją rozwinąć w powieść zajmującą i — co ważniejsza — kształcącą najszlachetniejsze uczucia w młodych czytelnikach. Do najgodniejszych uwagi, z prawdziwym talentem skreślonych obrazów, należy scena wstępna w klasie, przypominająca ciepłem tonu Amicisa i opis dwóch wigilji: w pysznych, jarzących się od świateł salonach Mielsztyńskich i na poddaszu, u Kanteckich, gdzie osamotnione dziecko znajduje wprawdzie pożywienie dla ust głodnych, lecz głodu serca nie ma czem zaspokoić i usypia we łzach w izdebce, której ponure mroki rozjaśnia jedynie promyk księżyca, „jasny, przeźroczysty i cichy, jak duch, co z wyżyn niebieskich przylata do ukochanych...“

Zewnętrzna szata „Przyjaciół“ zaleca się wytwornością, właściwą wszystkim wydawnictwom Towarzystwa Pedagogicznego, a nie małą jej ozdobę stanowią liczne i wdzięczne illustracje Z. Winterowskiego.

*M. W.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.